ROZMAITOŚCI.

Dnia 19 czerwca, Nr. 25. roku 1847.

NATALIJA, KSIĘŻNA Z....

(Dokonczenie.)

Wiedziony jakąś tajemną chęcią obaczenia tego wszystkiego, co mu niegdyś w młodości miłém było, udał się Wilson w saméj istocie do Bourbonne; zdawało mu się, jakby tam jeszcze niektóre szczątki swego szczęścia pozostawił, i mógł je teraz odszukać.

»Mniejsza o to« — rzekł sam do siebie — »że dawne rany serca mojego znowu się otworzą, że mię brzemię boleści do reszty przytłoczy! Wszak w Gwadelupie, gdziem się zestarzał, pozostanie mi jeszcze samotny kącik, gdzieby kości moje spoczęły, gdy już żyć i cierpieć przestanę.«

Jakoż wiodąc okiem po okolicach, które się nito sny, nito wspomnienia przeszłości koło niego przesuwały, uczuł się rzewnie wzruszonym.

Dopiéro dwa dni w Bourbonne bawił, a już mu to stuleciem się stało. Opowiadania gospodnika, i wycieczki w poblizkie strony, zamiast rozerwania go, pomnażały témbardziéj smutek, który go trawił.

Trzeciego dnia zwrócił swą wycieczkę ku wzgórzom, które miasteczko otaczają, a ku którym już pierwszych dni wielokrotnie zmierzał, nie będąc w stanie zajść daléj jak do połowy drogi, zarosłéj głogiem i ostami. Teraz po dwugodzinnéj wędrówce, zaszedł na wierzchołek jednego z pobliższych wzgórzów. Ztamtąd ujrzał w oddali samotny, starożytny, drzewy ocieniony dworek.

»Jakżem upadł na duchu!« — rzekł sam do siebie, spoglądając na dół, ku dworku. »Lękam się tego domu! Lękam się, aby mnie mury jego nie poznały, mnie, którego ludzie poznać nie mogli!« — I nabrawszy odwagi, podążył szybkim krokiem ku dworkowi.

»O Boże! otoż mój domek!« — zawołał, stanąwszy już w bobliżu.

Byłato tylko ruina domu wiejskiego. Dach się zapadł zupełnie; w oknach, gdzie nawet jaskółki gnieździć się nie chciały, błyszczało kilka szyb potłuczonych. Chwasty i powoje rosły po ścieżkach, nie dozwalając przystępu. Wilson przelazł przez omszone kamienie, i pomiędzy gruzy i osty utorował sobie drogę do swego własnego domu.

Wewnątrz jak i zewnątrz było wszystko zapadłe i opustoszone. Zdało się, jakby zmarli w tym otwartym grobie mieszkali, aż nareszcie i oni go opuścili. Na widok tych zwalisk, musiał Wilson oprzéć się o ścianę, gdyż uczuł, że kolana mu się zachwiały, a w oczach nagle łzy stanęły — łzy, których od lat dwudziestu już nie przeléwał.

»Jak tu cicho! Jak samotnie!« — ozwał się po chwili, wiodąc wkoło siebie melancholijnym wzrokiem. »A więc i te mury, w których szczęśliwość moję ukryć chciałem, dzielą zemną mój ciężki smutek! O, śnie nieszczęsny! O złudo okropna! Jakiemiżto katuszami musiałem was przeboleć i odpokutować. Niestety, czemuż, kiedy szczęście minie, nie miną także w piersi naszéj wspomnienia o niém? Tu, w tém miejscu pieściłem serce moje złudnémi nadziejami; tu,

żyjąc życiem miłości i szczęścia, chciałem zapomnieć o całym świecie. Płonne marzenia! W kielichu, z którego mniemałem upajać się rozkoszą, była tylko sama trucizna O, straszna nocy, w której po raz ostatni progi tego domu przekroczyłem! Dla czegoż nie mogę cię zapomnieć! Miano mię za umarłego, i nikt mnie nie opłakiwał, a czemuż, czemu ja płakałem? Czemużto nie dozwolił mi los zapomnieć o wszystkiém — nawet o nieszczęsném owém imieniu —!»

Po tych skargach zaczął Wilson przetrząsać szczątki sprzętów, grubą powłoką pajęczyny osnutych. Naraz rozpadły się spróchniałe deski starego biurka, i wyleciało z niego kilka pyłem okrytych kawałków papiéru. Podnosi je; pismo na nich stało się prawie już nieczytelném, a przecież on je poznaje i czyta: »dnia 12 stycznia 1814...»

Im więcéj słów w sens składa, tém bardziéj omracza się wzrok nieszczęśliwego wygnańca, drżą mu ręce, kolana się chwieją. Nagle głośny krzyk wydaje, przyciska boleśnie papiér do serca, i jak szalony wybiega z opustoszałego domu, zpośród pamiątek minionego szczęścia, i bieży w pole.

Radość, nadzieja i trwoga mieszają myśli jego. Idzie spiesznie lecz bez celu, i co miał wracać do Bourbonne, oddala się coraz więcéj od miasteczka.

Wtém zachodzi go burza; grzmoty i ulewa zmuszają go szukać schronienia, a tu w polu nie widać żadnego innego przytułku, prócz jakiéjś lichéj chaty, do któréj uciec się musi, i tam zwraca swe kroki. W chacie siedzi samotnie staruszka, znana w całéj okolicy pod nazwiskiem „Prządki." Pochylona nad kołowrotem, który nogą w ruch trąca, przysłuchuje się staruszka jednostajnemu warkotowi swéj pracy, i duma smutno o ukochanym synie, zniewolonym nędzą do opuszczenia matki, i szukania szczęścia po świecie.

Po chwili wstała prządka dołożyć chróstu na ognisku, obok którego Wilson stanął. Po kilku przemówionych do niéj słowach, oddał się znowu strumieniowi swych smutnych myśli i zapominając, że nie jest sam w chacie, powtórzył głośno te słowa: „dnia 12 stycznia 1814 .."

Prządka spojrzała na niego, i potakując głową, rzekła: „O, było bardzo zimno wtedy, bardzo zimno »

»Jako? Czy sobie ten dzień przypominacie?» — spytał Wilson

„Czemuż nie, siedziałam tu jak dzisiaj, i grzałam się przy ogniu."

„I z jakiegoż powodu stał się ten dzień ważnym dla was, że go tak pamiętacie?"

„Ach, dnia tego straciłam małe dziécię, którego ojciec a mąż mój, przed kilką miesiącami był umarł.»

»I od tego czasu żyjecie sami na świecie?»

Prządka zamilkła na chwilę, i zdała się być zakłopotana tém pytaniem.

»Pozostał mi jeszcze jeden syn» — rzekła zcicha, zwracając oczy w portret wiszący na ścianie jéj skromnéj chaty.

„Czy to jego portret?» — zapytał Wilson, śledząc oczyma wzrok staruszki. Poczém przystąpił do obrazu, aby mu się bliżéj przypatrzył. »O, jakże szczęśliwi jestescie, mając takiego syna!»

»Szczęśliwą, ja?»— odpowiedziała staruszka boleśnie »O, byłabym zaprawdę szczęśliwą, gdybym się nie musiała była z nim rozstać!»

»I gdzież on teraz przebywa?»

»W Paryżu. Ach, ta mimowolna wzmianka twoja panie: »dnia 12 stycznia 1814» bolesno mię zasmuciła. Ileż mi ona wspomnień w pamięci nie wywołała!„

»Ale przecież macie przynajmniéj jednę istotę w świecie, która was kocha — macie syna."

„Nic mi po nim nie pozostało, jak tylko gorzki żal! Pamiętam, byłoto już późnym wieczorem, około dziewiątéj godziny w nocy, a noc była ciemna, wiatr trząsł moją chatką i gnał czarne chmury. Wtém wszedł jakiś płaszczem owinięty mężczyzna z zakrytą twarzą, i nie mówiąc ani słowa, oddał mi list. W tym liście stało, iż się urodziła biédna siérota, którego matka bardzo słaba i może wnet umrze, że chętnieby 10 000 franków dla mnie i dla dziecka dano, gdybym je przyjęła, i chciała wychować. Tym sposobem znalazłam znowuż dziécię, straciwszy moje własne. We dwie godziny późniéj, tenże sam mężczyzna, ktory list mi przyniósł, postawił przedemną kołyskę z dziecięciem, i wręczył mi pulares, zawiérający 10.000 franków. O, jakieżto piękne było dziécię! Ucałowałam je serdecznie, i od tego czasu kocham je tak czule, jakbym rodzoną matką jego była."

Wilson słuchał nieruchomie każdego słowa Prządki

»I cóż się potém z tém dziecięciem stało? Mówcie, proszę was; opowiadanie wasze mocno mię obchodzi."

„Gdy mój przybrany syn wyrósł, zaczęłam się lękać, aby mi go nie odebrano, i dla tego uprowadziłam go z tąd daleko — aż do Paryża. Byłoto może niedobrze; ale kochałam go tak mocno, on też był do mnie tak przywiązanym, żeśmy się w żaden sposób rozstać nie mogli; zresztą miałam to przekonanie, że rodzice jego pomarli; gdyż od czasu, jak mi go oddano, nikt się już o niego nie dowiadywał."

„Ale musiało wam być trudno wyżyć w Paryżu; z czegożeście tam się utrzymywali?"

„Przywiązanie moje do Edwarda podwajało niewidomym sposobem szczupłe środki utrzymania mego. Miał on wielkie zdolności, był do nauk po-

chopny, więc go posyłałam do szkół. Jego odznaczenie się w naukach było jedyną pociechą moją, lecz niestety, nie myślałam o przyszłości. Opuściłam syna, aby mu nie być ciężarem. Już od tego czasu dwa lata upłynęły. Mój kochany Edward pisuje mi co miesiąc, i pociesza mię nadzieją, że wkrótce przy nim żyć będę mogła.»

Wilson uścisnął zacną staruszkę za rękę.

„A ów list, który ten nieznajomy wam oddał, możeście go przechowali? Proszę was, pokażcie mi go.»

Prządka pobladła.

„Na cóż się panu ten list przyda? Powierzyłam panu wprawdzie moją tajemnicę, lecz mu syna mego nie dam.»

Ztémwszystkiém, mówiąc to poszła staruszka do szafy, i list z niéj wydobyła. Wilson porwał go chciwie, i zaczął pismo jego porównywać z pismem karty, którą w zwaliskach znalazł. Pismo nie było toż samo, lecz treść obudwóch listów była zupełnie taż sama. Stara Prządka uważała z niespokojnością na każdy ruch Wilsona.

„I cóż wasz syn teraz w Paryżu porabia»— zapytał Wilson.

„Przed pół rokiem objął miejsce sekretarza przy księciu Z***» — odpowiedziała stara.

»Przy księciu Z***!» zawołał Wilson — „ach, to okropnie!»

Staruszka przestraszyła się.

„Czy pan znasz mego syna? Przez litość, powiedz mi, co wiész o nim.»

»Widziałem go raz na balu obok księżny.»

»Tak jest, wspomina on często o księżnie w swoich listach, ma to być bardzo łaskawa i dobra pani.»

Wilson nie był już w stanie dłużéj wstrzymać się. Spojrzał wpółobłąkaném okiem, i rzekł: »Deszcz już ustał. Dzięki wam za schronienie. Bądźcie mi zdrowe.»

* * *

Kapitan Launet spodziéwał się spotkać Wilsona w Havre, lub w Gwadelupie; za kilka dni bowiem miał objąć znowu komendę swego okrętu. Tymczasem Wilson spieszył pocztą do Paryża. Jak tylko tam stanął, przybiegł do kapitana, i uściskał go z uniesieniem.

»Jakąż radość sprawiasz mi przybyciem swojém, kochany Wilsonie!»

«Ciesz się ze mną przyjacielu! Serce moje pełne dobréj nadziei; dziwne zdarzenia zaszły od czasu mego wyjazdu z Paryża.»

„Będzieszże wreszcie szczęśliwym?»

»Mam nadzieję. Ale później ci to opowiém. Teraz powiedz mi, czyś widział księżnę Z***?»

»Nie, lecz wiém, że się ciekawie o ciebie dowiadywała.»

»Jesłże jeszcze w Paryżu?»

»Mówią, że po balu na wieś wyjechała.»

»Dokądże na wieś?»

»Do swojéj wili w Courbevoie, o milę od Paryża.»

»Tedy wkrótce i ja tam będę» — rzekł Wilson, żegnając się z kapitanem.

W przeciągu godziny był w Courbevoie. Gdy szedł przez ogród, postrzegł go książę, który właśnie stał w oknie; a chociaż go tylko raz widział, przecież go poznał. Bal, omdlenie księżny, jéj samotność od tego czasu, wszystko to przyszło księciu teraz na myśl, i obudziło w nim złego ducha zazdrości.»

Księżna była od rana sama, na pastwę swoich smutnych wspomnień oddana. Gdy jéj Wilsona oznajmiono, zdjęła ją nieopisana trwoga.

Wilson, blady, drżący na całém ciele, zbliżył się do niéj, i wyjęknął drgającémi usty:

»Uspokój się pani. Na jednę tylko chwilę szczęście twoje zamącę... posłuchaj mię:

»W roku 1813 przybyła do Bourbonne-le-Bains młoda, siedmnastoletnia dziewczyna. Nikt nie znał jéj pochodzenia ani ojczyzny. Była bardzo piękną, jednakże ta piękność ukrywała... Lecz na cóż wyrzutów?... Nazywała się Natalija Aubert.»

Tu wstrzymał się znowu, aby odetchnąć.

»Tegoż samego roku przybył tamże Jérzy Herville, młody człowiek, który przedwczesną śmiercią rodziców stał się panem znacznego majątku. Nieszczęście zrządziło, iż obaczył ową młodą dziewczynę, i zakochał się w niéj namiętnie. Poświęcił jéj wszystko, honor, szczęście, majątek. Ożenił się z nią, myśląc że przez to najczystszego, najwzajemniejszego szczęścia dostąpi.»

Tu nie mógł Wilson od zarzutu się wstrzymać.

»Natalija była ubogą, a przecież miała wiele kosztownych sukien... O, ileż Jérzy przez nią wycierpiał! Czy pani nigdy o tém nie słyszałaś...?»

»W dzień po tém nieszczęsném zaslubieniu, zniknął Jérzy, aby ukryć swoję hańbę, że się tak srogo dał oszukać. Nie widziano go odtąd nigdzie; słychać było, że umarł; lecz on żyje, na swoje własne nieszczęście — żyje.« Tu księżna zaczęła płakać.

»Zostawszy w ten sposób wdową, mieszkała Natalija jeszcze przez jakiś czas w swym dawnym domu, a potém zniknęła. Wojska cudzoziemskie zalały Francyję, a pewien zagraniczny książę upodobał ją sobie, ofiarował jéj pieniądze. Natalija poszła za nim. Jérzy zaś opuścił Francyję, i udał się do Ameryki. Jeżli teraz wrócił, tedy nie uczynił on tego dla odzyskania swego pozostawionego majątku, ani dla rozerwania czyichś nieprawnych ślubów, nie,

wrócił on jedynie, aby ci powiedzieć: Byłaś matką, a opuściłaś swoje dziecię, aby uciec z cudzoziemcem,...»

Tu wyjął Wilson list z zanadrza.

„Czytaj pani: „dnia 12 stycznia 1814...»

Księżna zasłoniła sobie twarz rękami.

„A teraz pytam panią: Byłoż to dziecię mojém dziecięciem?»

„Tak jest — twojém» — wyjęknęła księżna zamarłym głosem.

„Dobrze więc» — odrzekł Wilson stanowczo. — „Żądam go teraz od ciebie, wróć mi je nazad!»

Duże krople potu wystąpiły Wilsonowi na czoło. Księżna rzuciła mu się do nóg, i błagała ze łzami:

„O, miéj litość panie, przebacz! Nie wiém co się z niém stało.»

„Jest ono tutaj, jestto Edward, sekretarz twojego męża!»

„On — moim synem!»

Księżna była blizką omdlenia.

W téj chwili zostały drzwi gwałtownie roztrącone, wszedł książę. Był on jak trup blady, włosy mu się najeżyły, odwrócił głowę, aby księżnéj nie widzieć, i rzekł do Wilsona:

„Za pół godziny czekam pana w lasku bulońskim. Słyszałem wszystko, i żyć nie mogę, póki pan żyjesz.»

„Cóż ci na mojém życiu zależy! Jutro opuszczam Paryż.»

„O, nie zmuszaj mię pan do znieważenia go.»

„Ależ los nie byłby równym.»

„Jużto nieraz śmierci w oczy patrzyłem, i drżeć nie będę. Bić się musimy...»

„Jeżli pan koniecznie tego żądasz;.... ale potrzebuję wprzódy dwóch godzin.»

Książę wyszedł z pokoju, a Wilson powrócił do Paryża.

Księżna, zostawszy samą, powstała nagle z ziemi. Twarz jéj była spokojna, lecz śmiertelnie blada. Przystąpiła do biurka, i napisawszy silną ręką list do Wilsona, kazała przywołać Edwarda. Wejrzenie młodego sekretarza wyjawiało jakieś wewnętrzne wzruszenie, jakiś trwożny niepokoj. Zdało mu się, jakby coś nadzwyczajnego tu zaszło.

„Edwardzie» — rzekła księżna — „wyświadcz mi jeszcze tę przysługę; weź ten list, i oddaj go jak można najprędzéj panu Wilsonowi. Powié on ci, co masz czynić daléj, a słuchaj go, jak własnéj matki.»

„Pani» — ozwał się Edward, i chciał jéj upaść do nóg, lecz ona wstrzymała go, mówiąc:

„Spiesz się; nié mamy czasu do stracenia.»

Edward przycisnął rękę księżny do ust, i w milczeniu rozkazu jéj usłuchał. Po jego odejściu, stoczyły się dwie duże łzy po licach księżny.

Zamknęła się w pokoju, otworzyła skrzyneczkę, i siadła nad nią, z odwróconémi oczyma. Za chwilę dał się słyszeć boleśny jęk w komnacie, zbiegli si się ludzie księztwa, księżna leżała we krwi, konająca. Nim kwadrans minął — umarła. Książę nie chciał ją widzieć przed śmiercią.

Tymczasem Edward pospieszył do Paryża. Zastał Wilsona nad testamentem, w połowie już ukończonym. Oddał mu bilet księżny. Stało w nim następujących słów kilka:

„Ja wkrótce umrę — on niech się nigdy nie dowié, kto była jego matka, i co było powodem jéj śmierci »

Zaniechano pojedynku. Książę Z*** opuścił nazajutrz Francyję, a w tydzień późniéj odpłynął okręt pod dowództwem kapitana Launet do Gwadelupy; znajdowali się na nim Wilson, Edward i Prządka. Zamierzyli oni wszyscy troje żyć razem na plantacyi, którą Wilson w Gwadelupie posiadał.

Kapitan Launet, zaprzyjaźniony odtąd jeszcze ściśléj z rodziną Wilsona, nie omieszkuje nigdy odwidzać ją, ile razy okręt jego do Gwadelupy zawinie. Wilson odmłodniał i wypogodził się; Edward bywa jeszcze nieco posępnym, ile razy księżnę sobie przypomni, a jego piastunka, Prządka, którą on ma za matkę swoję, jest tak upojona radością spólnego z nim pożycia, iż zapomina wcale, że ta radość nie może już dla niéj trwać długo.

Bonaparte i finansista.

Zmarły przed niedawnym czasem sławny finansista francuzki Ouvrard, był przed piećdziesięcią laty najwytworniejszym modnisiem Paryża. Nadzwyczajny talent do spekulacyj kupieckich, połączony z rozrzutnością i zamiłowaniem przepychu; zjednał mu wnet głośne imię. Zaledwie lat dziewiętnaście mając, zakupił Ouvrard w początkach rewolucyi francuzkiéj wszystkie zapasy papieru, jakie tylko w najznaczniejszych fabrykach francuzkich się znajdywały, i prócz tego jeszcze na dwa lata naprzód pozawierał kontrakty, gdyż przewidział, że rozbudzony duch rozpraw politycznych wywoła ogromną masę książek, dzienników i pism ulotnych. Ta pierwsza szczęśliwa spekulacyja stała się węgielnym kamieniem jego ogromnego majątku. Późniéj zyskał on jeszcze więcéj w spekulacyjach towarami kolonijalnémi. Słowem, wszystko mu się najpomyślniej wiodło, a młody, ujmującéj powierzchowności Ouvrard, dzięki swoim talentom towarzyskim i bogactwu, wkrótce bardzo ważne stanowisko zajął.

Jednego razu, Bonaparte, który właśnie pierwsze wówczas zdobył sobie wawrzyny, znajdywał się w pewnym eleganckim salonie. Liczne koło gości o-

taczało młodego jenerała; mężczyźni słuchali go z uwagą, kobiety najpowabniéj mu się wdzięczyły; nagle otwierają się drzwi, i oznajmiono młodego milijonowego panka — Ouvrarda. Natychmiast rozpryska się koło, uwaga zwraca się ku nowo przybyłemu, a Bonaparte ogląda się napróżno choćby za jednym słuchaczem swéj przerwanéj powieści. Wszyscy obecni cisną się około nowego bożyszcza, sława wojenna gaśnie w blasku bogactwa, a Bonaparte został w zacieniu. Młody milijonowy bogacz nie przeczuwał natenczas, iż zrobił sobie potężnego, nieprzebłaganego nieprzyjaciela, który mu w przyszłości wiele mógł szkodzić.

W jakiś czas po tym wieczorze, Bonaparte, ubiegając się o naczelne dowództwo nad armiją włoską, udał się do dyrektora Barrasa w pałacu luksemburskim. Powiedziano mu, że teraz z dyrektorem mówić nie można. — „Czy jest kto u niego?” — zapytał jenerał. — „Jest” — odpowiedziano tajemniczo.— »A więc zaczekam”— rzekł przyszły władzca Francyi.

Bonaparte czekał przez dwie godziny, przeklinając w duchu natrętnika, który dyrektora tak długo zabawiał. Wreszcie dała się słyszéć głośna rozmowa, przytém żarty i śmiéchy. Po konferencyi odprowadzał Barras swego gościa, a Bonaparte poznał Ouvrarda.

Barras przechodząc koło młodego jenerała, ozwał się do niego ulotnie: »Dzień dobry ci jenerale”, a finansistę śród ciągłych żartów i śmiéchu wyprowadził aż do schodów. Poczém wróciwszy rzekł z lekka do Bonapartego: »Pan czekałeś na mnie?»

»Od dziesiątéj; teraz dwunasta wybiła.”

»*Ah, diable*! To mi rzadka cierpliwość! Téj cnoty nie spodziéwałem się po panu Ale jest ona bardzo potrzebna, jeżli kto chce czegoś dopiąć. Pan swego celu nie chybisz.”

„Mam nadzieję.”

„Żeś tak długo na próżno czekał jenerale, temu tylko Ouvrard winien. Trudno się od niego oderwać, gdy się słuchać go zacznie. Co za dowcipny człowiek! Zna całą sekretną historyją naszych pań pięknych. Bo też nie ma się czemu dziwić; młody i bogaty; a więc ma dwie zalety, które podbijają serca kobiéce. Wszakże nie jedyna to jego zasługa! Jestto także człowiek do interesów, jakich mało; i nie znam użyteczniejszego przyjaciela dla rządu, który często jest w potrzebie pieniędzy. On mię zawsze wybawia z kłopotu. W najgorszych okolicznościach umié zaradzić, w najjałowszym gruncie umié żyły złota odkryć. Trzeba przyznać, że Ouvrard jest jedynym jenijuszem naszego czasu.«

Te pochwały nie mogły zmniejszyć niechęci Bonapartego ku Ouvrardowi. Skoro Bonaparte piérwszym konsulem został, zaczęło się prześladowanie Ouvrarda. Ztémwszystkiém miał on wielu znakomitych przyjacioł. Bernadotte, późniejszy król szwedzki, żeniąc się z córką pewnego kupca z Marsylii, zapożyczył się był u niego. Ouvrard wyświadczył wiele przysług pani Beauharnais przed i po jéj zaślubieniu z Bonapartem, i wiele najdostojniejszych osób było mu obowiązanych. Ztémwszystkiém piérwszy konsul odpowiedział raz pewnemu obrońcy Ouvrarda:

„Człowiek, który 30 milijonów majątku posiada, a o mnie nie dba, jest dla mnie niebezpiecznym.”

Ouvrard został uwięzionym; przetrząśnięto jaknajściśléj jego papiéry. Odkrycie kilku listów pani Beauharnais, w których dłużniczką finansisty się uznając, w najpochlebniejszych wyrazach mu dziękowała, podniecilo jeszcze bardziéj nienawiść Bonapartego. Prześladowanie trwało bez przerwy, nawet wtedy, gdy Bonaparte już cesarzem został. Ouvrard opiérał się dość skutecznie, aż w końcu udał się do Hiszpanii, i rozpoczął na wielką stopę spekulacyje handlowe do Ameryki. Gniew Napoleona i tam go dosięgnął. Naostatek z powszechnego majątkowego rozbicia, o jakie następne przesilenia handlowe go przyprawiły, ocaliwszy kilka milijonów, do Anglii się usunął. Tam żył przez lat wiele jakby zapomniany, aż dopiéro śmierć znowu go światu przypomniała.

Honor zbójcy.

Z Dumasa »Hiszpanija i Algerija.«

Książę Ossuna należy do liczby owych bogactwy i rodem odznaczających się magnatów, których już coraz mniéj w naszych czasiech widzimy. Ma on czternaście różnych tytułów granda hiszpańskiego, ozdobiony jest tylą orderami, iż mu się wszystkie na piersiach zmieścić nie mogą, a będąc ostatnim potomkiem swojego rodu, jest oraz reprezentantem trzech sławnych domów Lerma, Benevente i Infantado, które się wszystkie w jeden ród Ossuna spłynęły. Dochody jego są niezmierne, a jak mówią, sam ich nie zna. Posiadłości jego w Hiszpanii i Niderlandach mają większą rozległość, niż niejedno królestwo. We Flandryi należą najpyszniejsze zamki do niego; w Hiszpanii ma nawet twierdze, w którychby się ze swoimi ludźmi przez cały rok mógł trzymać, gdyby go kiedy chętka wojowania zebrała. Dobra jego zawiérają szérokie, żyzne równiny, ogromne góry i lasy, a w tych lasach ma też książę Ossuna — i zbójców.

Według najnowszych statystycznych wiadomości, jest jeszcze w Hiszpanii pięćdziesięciu do sześćdziesięciu rabusiów. Otoż siedmiu z nich należą do księcia Ossuna. Za czém jednak nie idzie, że książę jest hersztem tych siedmiu zbójców; jest on tylko

ich panem i właścicielem. Tej zaś osobliwszej własności nabył on następującym sposobem:

Gdy przed trzema laty bandy zbójeckie w Hiszpanii wytępiano, uszło z nich około sześćdziesięciu rabusiów; trzydziestu do czterdziestu schroniło się w niedostępnych jarach Siera-Moreny, ośmiu do dziesięciu w pustkowiach między Castro de Rio i Alcandete, a reszta w lasach Alamińskich. Te lasy należą do księcia Ossuna. Przez jakiś czas borowi księcia toczyli z rabusiami rodzaj wojny w miniaturze; zdarzały się częste potyczki, a z kul, któremi wzajemnie do siebie strzelano, kilka nie w drzewa lecz w ludzi ugodziło. Nareszcie sprzykrzył się taki stan rzeczy obojéj stronie, i zawarto rozejm pod warunkiem, aby zbójcy żadnego podróżnika, spokrewnionego z księciem Osuna, lub książęcą kartą bezpieczeństwa zaopatrzonego, napastować nie śmieli.

Jednego razu ci książęcy zbójcy— a było ich już tylko siedmiu— czatowali w lesie na zdobycz, gdy wprost ku nim margrabina Santa-Croce, jedna z najpiękniejszych dam stolicy nadjechała. W oka mgnieniu przytknięto woźnicy niespodzianie siedm karabinów do piersi, a powóz stanął jak wryty. Młoda dama ze stolicy nie może oczywiście znieść podobnego przypadku bez omdlenia, a więc i margrabina zemdlała. Zbójcy nie omieszkali korzystać z nieprzytomności margrabiny, i zabrali się do plądrowania powozu; lecz czynili to tak pzzyzwoicie i z takiém uwzględnieniem, iż trzeba im było przyznać najżywszą chęć okazania się godnymi dozwolonéj sobie swobody. Po przetrząśnieniu powozu, oznajmiono woźnicy, że może daléj jechać; a turkot powozu przywrócił wkrótce opamiętanie margrabinie. Jéj saméj ani włos z głowy nie spadł; zresztą jednak zabrali zbójcy wszystko, co miała, tak dalece, że ani jednego reala, ani jednego pierścionka jéj nie zostawili.

Przybywszy do Madrytu udała się margrabina czémprędzéj do księcia Ossuna, aby mu się o ten w jego dobrach na niéj popełniony rozbój poskarzyć.

»Czy pani powiedziałaś, iż mam zaszczyt być jéj kuzynem?» zapytał książę.

»Jakże mogłam to powiedzieć, gdym natychmiast zemdlała?»— przejęła margrabina.

„A więc dobrze.”

»Jakto? dobrze?»

„Dobrze, ponieważ wiém, co mam czynić. Bądź pani spokojną. Zgłoszę się wkrótce do pani.”

Upłynął cały tydzień, a margrabia nie zgłaszał się. Dopiéro dziewiątego dnia otrzymała margrabina zaprosiny udania się do swego kuzyna.

Książę oczekiwał ją u siebie w towarzystwie jakiegoś nieznajomego.

„Kochana margrabino” — ozwał się książę, wychodząc naprzeciw swojéj kuzynki, i prowadząc ją do stołu, na którym worek z pieniędzmi i kupa różnych kosztowności leżały. — „Bądź pani łaskawą powiedzieć mi, ile pieniędzy miałaś z sobą w powozie.»

»Cztéry tysiące realów.”

»Przelicz pani” — rzekł książę, podając jéj worek z pieniędzmi — „albo pozwól raczéj, abym ja sam przeliczył. Twoje rączki są zbyt piękne, aby się miały brukać od tych szkaradnych pieniędzy.”

Książę przeliczył pieniądze z worka; nie brakowało ani jednego maravedi.

»Teraz kochana margrabino” — rzekł książę daléj— „przejrzyj pani te klejnoty, i przekonaj się, czy jest wszystko.”

Margrabina przeglądnęła rozłożone bransoletki, łańcuszki, zégarki, pierścienie, naszyjniki i t. d., i przekonała się, że jest wszystko. „Ale któż panu to zwrócił?” zapytała zdziwiona

»Ten pan” — odrzekł książę, wskazując na nieznajomego.

»I któż jest ten pan?”

„Herszt zbójców, którzy panią zrabowali. Uskarzyłem się przed nim o to, uwiadamiając go, iż pani jesteś moją kuzyną; a on żałuje mocno, żeś pani sama tego mu nie powiedziała, gdyż byłby nie tylko nie poważył się zrabować cię, lecz owszem dał ci nawet w razie potrzeby straż bezpieczeństwa. Prosi cię więc najpokorniéj o przebaczenie.”

Rozbójnik skłonił się.

„Czy mu pani przebaczysz?” ozwał się książę daléj.

»O, z całego serca” — odpowiedziała margrabina — „lecz tylko pod jednym warunkiem.”

„Mów pani.”

Zbójca spojrzał niespokojnie na margrabinę.

»Wezmę z tych kosztowności tylko jeden prosty złoty pierścionek, pamiątkę po mojéj matce”— rzekła margrabina — „resztę niech sobie zatrzyma.”

Zbójca chciał się sprzeciwić temu.

„Tylko pod tym jednym warunkiem przebaczę”— przejęła margrabina.

„Widzisz pan” — ozwał się książę — »moja kuzynka jest upartą; radzę panu więc usłuchać jéj, jeżli nie chcesz miéć nieprzyjemności.”

Zbójca wziął pieniądze i kosztowności, ukłonił się w milczeniu, i wyszedł.

Gdy margrabina do siebie wróciła, oznajmiono jéj, iż jakiś pakiet dla niéj oddano. Margrabina otworzyła go, i znalazła swoje pieniądze i klejnoty. Trudno było szukać zbójcy w parowach Alamińskich, a zatém musiała zatrzymać swoję własność.

Od tego czasu nie zaszła więcéj żadna pomyłka tego rodzaju, a książę nie miał najmniejszego powodu do niezadowolenia ze swoich zbójców.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład **Piotra Pillera**) wyszedł nr. 24ty i zawiera: 1) Rada dla rolników na małych gospodarstwach. 2) Księdza Antoniego Klimy (członka c. k. galicyjskiego Towarzystwa agronomicznego i członka komitetu tegoż Towarzystwa) rzut oka na rolnictwo. (Dokończenie). 3) Morawskiego słówko o regulacyi pańszczyzny i o potrzebie maszyn do robót rolniczych. 4) Odśrodkowa młocarnia. 5) Skutki obornika. 6) Roślina głąbiowa Arrakacha. 7) Zakład gospodarski koło Pesztu. 8) Przyrządzenie do ratowania ludzi tonących. 9) Jak utrwalić drewniane dachy? 10) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 11) Uwiadomienia potoczne.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją **Tomasza Kulczyckiego**, wyszedł nr. 13ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Cmentarz w Sandomierzu. Legenda. Przez Adama Gorczyńskiego. 3) Wystawa starych obrazów we Lwowie r. 1847 przez Kornela Szlegla. 4) Wystawa obrazów malarzów lwowskich przez Seweryna Celarskiego. (Ciąg dalszy.) 5) O piśmie czasowém »Biblijoteka Ossolińskich« przez J. Dobrzańskiego. 6) List dyrektora zakładu Ossolińskich Adama Kłodzińskiego do redakcyi.

Biblijoteki naukowego zakładu imienia Ossolińskich zeszyt VI zawiera: 1) Synowie Gedymina (ciąg dalszy), przez Kazim. hr. Stadnickiego. 2) Obyczaje pierwotnych Słowian (dokończenie), przez Karola Szajnochę. 3) Język polski i jego uprawiacze w Galicyi (dokończenie), przez Stanisława Pilata. 4) Poezyje. 5) Rozmaitości. Korespondencyja Redakcyi.

Z Warszawy: Między doniesieniami literackiémi bieżącego poszytu »Biblijotcki warszawskiéj« czytamy pożądaną dla wszystkich matek i wychowawczyń wiadomość, którę tém chętniej tu umieszczamy, ile że wiadomość ta nie jest zwyczajném ogłoszeniem księgarskiém, ale zdaniem saméjże światłéj redakcyi: »W tych dniach wyszedł z druku nakładem księgarni J. Klukowskiego tom piérwszy dzieła, które od lat dawnych w języku polskim oczekiwane, spełni nadzieję niejednéj rodziny, i stanie się nierozłącznym pomocnikiem matek i przewodniczek poświęcających się umysłowemu kształceniu dzieci. Dzieło to wydane jest pod napisem: *Wykład nauk, przeznaczony ku pomocy w domowém wychowaniu panien.* Autorka, panna **Żmichowska**, znana już zaszczytnie w polskiém piśmiennictwie pod pseudonimem Gabryjeli Z... poświęca czas téj może mniéj wdzięcznéj, lecz pełnéj zasługi pracy. Jéj świetne i bogate w ozdoby pióro zniża się tu do prostoty dziecinnego pojęcia, nic nie tracąc nic na mocy, ani na gruntowności swojéj; to też imię autorki jest dla nas dostateczną rękojmią, że pismo jéj nie tylko przeznaczeniu swemu odpowie, ale nadto stanie w rzędzie dzieł, które na długi czas użytecznémi pozostaną. — »Część którą dziś przedstawiamy« — mówi samaż autorka — »jest częścią zupełnie przedwstępną, jest tém, co u nas zwykle *elementarzem* zowią. Umieściliśmy w niéj rys najogólniejszy wiadomości, którym w dalszych tomach coraz obszerniejsze zakreślać będziemy koła. Obraliśmy pięć przedmiotów jako pięć głównych działów wszechstronnéj wiedzy ludzkiéj: *Nauki przyrodzone*, które tłumaczą naturę; *Arytmetykę*, która oznacza przestrzeń i czas; *Geografiją*, która wskazuje miejsce; *Historyją*, która wypełnia i naturę i czas z przestrzenią, i miejsca wszelkie, a nakoniec *Naukę mowy* ustnéj i pisanéj, która tego wszystkiego jest ostatecznym głosem i znakiem. — W książce niniejszéj zaledwo piérwsze tych ważnych nauk rzuciliśmy wyobrażenia; żadnéj z nich nawet nie śmiano jeszcze nazwać dziecięciu. Teraz dopiéro każda z tytułem swoim ma w osobném stanąć dziele, i w szczegółowym rozwinąć się wykładzie.«

Biblijoteka warszawska za miesiąc czerwiec zawiéra: 1) Aleksander Humboldt i jego »Kosmos«, przez Józefa Sapalskiego. 2) Panna postępowa, opowiadanie przez Józefa Korzeniowskiego. 3) O przesileniu handlowém i finansowém w r. 1847, tłumaczył K. L. Wolicki. 4) Historyja cywilizacyi wyspy Madagaskar i prześladowań; jakich tam chrześcijanie doznali. 5) Kronika literacka. 6) Rozmaitości. 7) Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, 8) Kronika biblijograficzna. 9) Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne.

Obłąkani. Na zgromadzeniu lekarzy i badaczów przyrody w Kiel, odczytał profesor Jessen zajmującą rozprawę o obłąkanych, z któréj następujący ciekawy ustęp wyjmujemy: »Poznałem i leczyłem przynajmniéj 1500 obłąkanych. Żyłem pośród nich, i miałem z nimi więcéj niż z rozsądnymi do czynienia. Owoż gdyby mi przyszło wynurzyć zdanie o moralnéj wartości obłąkanych w porównaniu z tymi, którzy za rozsądnych uchodzą, tedy musiałoby to zdanie wypaść na korzyść obłąkanych. Wyznaję szczerzę, iż chorych na umyśle, daleko wyżéj cenię niż innych; iż w obcowaniu z nimi nie tęsknię za towarzystwem rozsądnych, iż oni mi się po części naturalniejszymi i rozsądniejszymi wydają, niż ludzie w ogólności. Znalazłem pomiędzy nimi daleko więcéj przykładów zaufania, dobroci, miłości i wdzięczności, niż gdziekolwiek indziéj, i śmiało powiedzieć mogę, że u nich prawdziwa ludzka natura daleko powszechniéj i szczeréj się objawia, niż w naszém społeczeństwie, gdzie pozór aż nazbyt często miejsce prawdy zastępuje.... Kto nie ma obfitego umysłu, ten niech się choroby umysłowéj nie obawia; kogo zaś natura głębokim, szlachetnym, bujnym umysłem obdarzyła, ten już zaród choroby ma w sobie. Tylko tak zwani ludzie rozsądkowi, ci zimni, nielitościwi, wszelkiego rzewniejszego uczucia pozbawieni ludzie, mają przywiléj niezapadania tak łatwo w chorobę umysłową; lecz czyje serce w miłość opływa, kto ma sumienność, ten jest oraz skłonnym do obłąkania, gdyż głównie nadmiar miłości i sumienności, chorobę tę sprowadza. Zazwyczajto troska nie o byt własny, lecz o byt rodziny i dzieci, żal po stracie kochanych osób, niezadowolona tęsknica miłości, pragnienie wyższéj doskonałości — wtrącają w obłąkanie. Kto więc skutkiem wpływów psychicznych w chorobę umysłową popaść może; ten niewątpliwie wyżéj stoi niż ów, nad którym te wpływy mocy nie mają, lub kogo one bez trwalszego wrażenia, tylko przelotnie dotykają.«

Kolonije bobrów. Do różnych projektów kolonizacyjnych, w jakie nasz ruchliwy czas obfituje, dodaje dziennik austryjackiego *»Lloyd«* wniosek założenia kolonii bobrów. Zwierzęta te, osadzone przy odległych rzekach, mianowicie w pobliżu pastwisk, nie robiłyby żadnéj szkody, lecz owszem znaczną korzyść przynieśćby mogły, ile że znany środek lekarski *castoreum* jest teraz coraz rzadszym i droższym,

a każdy bóbr, mający zazwyczaj ze 40 łótów *castoreum* (1 łót po 12, do 16 reńsk.) nosi przy sobie tego lekarstwa za 480 do 640 reńskich.

Maryjonetki. Co wyraz »maryjonetki« znaczy, wie każden; ale zapewne mało komu wiadomy jest początek tego wyrazu. Nazwa maryjonetek pochodzi od Maryjon, zdrobniałego imienia Maryi, i sięga czasów sławnej procesyi, która niegdyś w Wenecyi się odbywała. Z początku były córy najzamożniejszych rodzin weneckich— nazwane od tego obrzędu Maryje — ozdobą rzeczonych procesyj; jednak z czasem zdała się ta ceremonija pięknym damom zbyt uciążliwą, a miejsce ich zajęły drewniane łątki człowieczéj wielkości, wytwornie ustrojone, a później maryjonetkami nazwane.

Wojsko duchów. Pouqueville opowiada w swojéj »Historyi odrodzenia Grecyi« następną okropną scenę: Po strasznéj rzezi, jaką Turcy na pięknej greckiéj wyspie Chios wyprawili, wrzucono około 30.000 zamordowanych Greków w cieśninę między Chios a Czesme, gdzie stały okręty ich morderców. Jak zwykle, utonęły świeże trupy na spód morza, i pozostały tam przez dni kilka. Jednéj nocy zaś zdało się nagle strażnikom tureckich okrętów, jakby tłumy ludzi ku okrętom płynęły, i coraz rojniéj je otaczały. Wreszcie rozkazał kapudan-basza dać ognia do nich, ale płynące roje, i tém się nie odstraszyły, lecz nadpływały owszem w milczeniu coraz bliżéj i bliżéj. Dopiéro gdy noc minęła a biały dzień zajaśniał; poznali Turcy ze zgrozą, że cała flota była oblężoną od trupów, które według praw przyrodzonych znowuż na powierzchnią morza się wzniosły. Okropny ten widok niewymownie przeraził barbarzyńców. Każdy z nich mniemał rozeznawać pomiędzy trupami zwłoki osób, które własną pięścią zamordował. Osobliwszym przypadkiem sędziwy trup biskupa z Chios, otoczony kilką wraz z nim zabitych księży, zapłynął też pod kajutowe okna kapudana-baszy, i unoszony falami, przybierał niekiedy prostopadłą, groźną postawę. Śmiertelna trwoga ogarnęła kapudana i całą flotę. Coprędzéj zwinięto kotwice, i jakby burzą gnane, ruszyły okręty ze stanowiska, uciekając przed tém martwém wojskiem ku zatoce smyrneńskiéj. Ale zgroza Turków wzmogła się jeszcze bardziéj, gdy utworzony szeregiem płynących okrętów prąd falisty, porwał z sobą mnóstwo trupów, i tém szybcéj za okrętami je ciągnął, im spieszniéj okręty uciekały. Dopiéro po kilku godzinach zaczęły trupy z tyłu zostawać, a Turcy mogli o tyle się uspokoic, iż nazad na opróżnione od trupów stanowisko wrócili, i nad tém złowrogiém zjawiskiem rozmyślać jęli. Jakoż istotnie wywróżyło im ono okropną zemstę. Dnia 19 czerwca bowiem przyczepiło 43 greckich bohatérów dwie łodzie palne do admiralskiego okrętu, który wnet potém w powietrze wzleciał; spadający maszt zabił kapudana-baszę, który się już do szalupy był schronił, a 21 okrętów rozbiło się w szczęty.

Szpital zwierzęcy. W Bombay znajduje się szpital zwierzęcy, założony przez pewnego kupca z sekty Jainów. Ta sekta zbliża się najwięcéj do religii Hindusów, a już Pythagoras zastał ją w Babilonie. Wyznanie téj sekty wzbrania jak najsurowiéj zabijać zwierzęta. Kierunek pomienionego szpitalu zostaje w rękach pogańskich, i z pogańskich też składek bywa ten szpital utrzymywany. Stoi tam na łaskawym chlebie 50 do 100 starych koni, któreby inaczej po skończonéj służbie jako nieprzydatne do niczego, niewątpliwie były zabite; daléj 170 krów i wołów, 200 psów, tudzież bardzo wiele małp, kotów i innych zwierząt. Dobroczynność ta obejmuje stworzenia wszelkiego rodzaju, z wyjątkiem ludzi, a tysiące starców, niewiast i dzieci umierają z chorób i nędzy przed progiem zwierzęcego szpitalu.

Honoraryja autorów dramatycznych we Francyi w przeciągu ostatnich lat pięciu uczyniły 4.988.571 franków, to jest w przeciągu blizko 1 milijon franków co roku.

Sprzęty z papiéru. Niedawno zaczęto w Anglii, mianowicie w Birmingham, wyrabiac sprzęty z papiéru, naśladujące do złudzenia najkosztowniejsze gatunki drzewa. Na rachunek królowéj hiszpańskiéj są następujące meble z najpiękniejszą polityrą, któréj ani gorąco ani zimno nie szkodzą, zamówione: sofa z poduszkami, karmazynowym aksamitem powleczona, złotem i perłową macicą wysadzana; stół przed sofę, sekretarka damska, kilka stolików do roboty i do grania, 4 fotele, 24 krzeseł, stolik do kwiatów. Wszystkie te sprzęty są daleko trwalsze i gustowniejsze niż drewniane, ale też zato i bardzo drogie. Królowa hiszpańska zapłaciła za powyższe meble 80.000 zł. pl.

Kupno roli teatralnéj. Niedawno bawił w Paryżu pewien lord z młodą, przystojną żoną; lord był oczywiście Anglikiem, młoda, przystojna żona Francuzką. Mimo wszelkie możebne rozrywki, o jakich posłuszny mąż w dzień i noc przemyśliwał, rzekła przecież milady jednego razu: »Milord, nudzę się!«— »*Goddam*, zażądaj pani tylko, co chcesz, a będziesz miała.« — »Otoż chciałabym grać komedyję.« — »Nic więcéj? O, to fraszka! Natychmiast postaram się o to. Jakże, chcesz pani występywać w operze, czy w balecie, i w jakiéj roli?»— »Chcę grać w melodramacie, i tylko w roli księżny.« — Milord pobiegł czémprędzéj do pewnego dyrektora teatru, i rzekł: »Chcę kupić rolę?«— »Jakto?«— »Rolę dla mojéj żony, która pragnie wystąpić koniecznie na scenie.« — »A maż ona talent?«— »Mniejsza o to, wszakże ja chcę kupić rolę od pana.» — Dyrektor rozśmiał się w głos z Anglika, który wściekły do domu wrócił. Żona zaś odpowiedziała: »Milord, rób pan co chcesz, a jeżli nie będę grała księżny, tedy zabije się.« Milord pobiegł znowu do dyrektora teatru, i ozwał się: »Kupię cały teatr od pana, jestem w rozpaczy, zapłacę panu, co chcesz, ale przedaj mi koniecznie rolę księżny.« Dyrektor już się nie śmiał, lecz był żywo utrapieniem Anglika wzruszony; nie mógł jednak temu poradzić, i odrzekł tylko: »Jeżli żona pańska z nami komedyi nie gra, tedy ją gra już z panem.«

Nieporozumienie. W pewnym domu zajezdnym zażądała przejeżdżająca Angielka w języku angielskim: wody — *water*, a myśląc że posługacz jéj nie rozumie, dodała szybko po francuzku: *l'eau*, z czego powstał kalambur: Waterloo. Zwinny posługacz mniemał, że Angielka chce się przypatrzéć zblizka wiszącemu na ścianie obrazowi bitwy pod Waterloo, i zdjąwszy go w skoku, pospieszył z nim do Angielki. Dopiéro powszechny śmiéch obecnych gości wyjaśnił obopólne nieporozumienie.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.